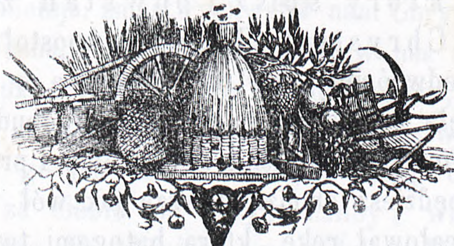
Tom IV. Nr. 10.

1. Kwietnia. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Chrystus nam zmartwychwstał, Alleluja!

Przezwyciężył Syn Boży wszelką moc pogaństwa! Przybili Go na krzyż między łotrami, przeszyli bok Jego, i koronę z cierni kładli Mu na głowę, a owo złożony w zimny grób kamienny, powstał z martwych cudem, i rzucił postrach na złe i niewierne.

Alleluja, zmartwychwstał! I zostawił po wiek wieki świadectwo dla świata, że większą jest siła Boża na ziemi, niż chytre podstępy szatana, syna ciemności. I zostawił naukę dla całego świata, że wszelka miłość i wszelka prawda są nieśmiertelne; a choćby ją fałsz i podstęp zwyciężył, i zabił a pogrzebał: to przecie zmartwychwstanie w swoim czasie wielka światłość prawdy, a rozprószy ciemności fałszu i grzechu!

Zmartwychwstał Jezus Chrystus, i rozprószył ciemności grzechu i fałszu, lecz ludzie padają znowu w otchłanie, a uginają się pod ciężką ręką karzącego Boga! Corocznym obchodem Wielkiej-nocy upomina was Chrystus, syn Boży, jakoście winni powstawać z błędów, i z grzechu, a choćby cierpieniem za cnotę i za prawdę, dawali świadectwo całemu światu, że świa-

tłość i prawda są nieśmiertelne, że nieomylną jest nauka Chrystusa Pana!

Wstań, który spisz i powstań z martwych, a ożywi cię Chrystus! Tak woła Apostoł święty na ziemię całą, aby odwróciła oczy od fałszu, a w prochu własnej znikomości ugięła kolana przed prawdą, i obudziła się ze snu grzechów. Człowieku, rozjaśnij twe czoło, i przetrzyj oczy ze snu; inaczej będziesz chodził zawsze jak wół w jarzmie niewoli, będziesz całował rękę, która batogami twój grzbiet smagać zwykła. Spiący i niedbały, będziesz zawsze ponurym i ociężałym; wstań z martwych, a Chrystus cię ożywi!

Miłością i zgodą niech wzrastają serca wasze, a zmartwychwstanie w was światłość prawdy, i przejrzą wasze oczy niewidome. *Chrystus zmartwychwstał!* mówi Mazur; *Chrystos woskres!* woła Rusin, i dzielą się jajem i paską święconą, a jedną myślą witają Pana nad Pany w Jego chwili zmartwychwstania. Czysty i biały powinien tu każdy być w swojem sercu, bo inaczej bluźni Bogu, co zna tajemnice ludzkie, sprzeciwia się prawdzie i bije pokłony szatanowi. A serce w obec Boga nie może mieć nienawiści; Prawda i Miłość, Światłość i Zgoda: to śpiew anielski w chwili zmartwychwstania.

Budzi się ziemia ze snu zimowego; stopniały śniegi i trawa strzela już zielona; budzą się ptaszęta panu Bogu chwałę wyśpiewując, i lecą bociany na rodzinne gniazda. Budź się i ty człowieku, a zmartwychwstań. Uczyniłeś spowiedź, i oczyściłeś serce twe przed Bogiem, czy masz-że dalej spać w barłogach grzechu i zbrodniczej nienawiści? Bóg skarze cię srogo, gdy w chwili przejrzenia i zmartwychwstania twej duszy, nie podasz rękę bratu, czy to w zagrodzie czy to we dworze, i nie napełnisz serca twego bratnią miłością.

Idą chmury od zachodu, a kto wie co one tam w sobie niesą. Jeżeliś czysty w sercu, miłujący a szczery, to spuści pan Jezus ciepłą rosę na twoje łany, i będzie ci wzrastać żyto i zazieleni się rola pszeniczką. A skoro zostaniesz nieczysty i pełen grzechu w twojem sercu, to drzyj przed sprawiedliwością Boga. Gradem zniszczy on twoje zasiewy, a piorunami zagrodę, gdy zechce ci ukazać swoją twarz zagniewaną. A kiedy ci się nic

nie stanie, pomimo tego że złym będziesz w sercu, to drzyj i módl się, byś uszedł wiecznej ciemności.

Alleluja, alleluja, zmartwychwstał nam Chrystus, zmartwychwstała nam wiosna, i zmartwychwstało w nas serce czyste po świętej spowiedzi. Korzmy się przed Bogiem, przed światłością i prawdą, a uznawajmy Jego dobrodziejstwa w bliźnim naszym, miłując go jak siebie samego! Bóg twój, człowiecze, przelał krew za ciebie na krzyżu hańby; więc i ty nie skąp krwi serca twego dla bliźnich, a rozradujesz Boga. Kto ciemności i grzechowi służy, dla tego wieczna ciemność i potępienie.

Alleluja, alleluja! Chwała Synowi Bożemu na wysokościach, który nam dziś zmartwychwstaje!

Alleluja!

Ciało Chrystusa złożyli w grobie,
I ciężki z góry przywalą głaz;
Cieszą się zbrodnią i mówią sobie:
— Już jego bóstwa skończył się czas! —
Aż dnia trzeciego w ciemnej pieczarze
Wielka się światłość z grobu ukaże:
Chrystus syn Boży
Zmartwychpowstaje,
A straż się trwoży,
Ducha oddaje,
Krzepnie w niej krew;
A w górze wieniec Aniołów buja
I wznosi śpiew:
Alleluja! —

Zadrzyj radością ziemio drzemiąca,
Wypłyń-że słońce z wysokich gór;
Zawitaj zorzo złotem kapiąca,
Niech się rozbudzi wszelaki twór:
Niech wszystko chwałę opiewa Bożą,
Niech modły w cnotach ludzi pomnożą!
Za wieczne życie,
I śmierć bezpieczną,

I grzechów zmycie,
I światłość wieczną
Niebieskich dróg;
Niech nasz głos czysty w powietrzu buja:
Zmartwychwstał Bóg,
Alleluja! —

Wróż.

Późno już w nocy było, a Barciakowie siedzieli przy stole i gawędzili o wielkiem szczęściu, co przybędzie, skoro tylko pieniądze wykopią. A że też im i ochotnie było, więc wygonili Marynkę spać do komory, a sami kazali przynieść poganiaczowi Bartkowi kwartę miodu od Mendla, i tak się we dwoje traktowali, a rozprawiali o tem, co się też z Marynką stanie, jak będą panami.

— Taże Marynkę już Staszkowi poręczyliśmy? — rzeknie Barciak.

— O, nie miałabym roboty, aż za chłopa córkę wydawać — zawołała żona. — Ja myślę, że się o nią, bo to jedynaczka, panicz dworski pokusi. Nawet jak tu kiedyś przychodził, to do mnie samej mówił: ładne dziecko wychowaliście sobie. Potem jak jej wróż z ręki czytał, to świadczyło na niego, bo któżby inny był z drugiej strony rzeki? A Jagusi wskazywał na Staszka.

Barciak. Ta u Boga nic niepodobnego.

Żona. Tylko jabym chciała, żeby ją na kilka niedziel do Rzeszowa dać, coby się tam wyuczyła, jak to się przybrać i wymuskać. Ot, na ten przykład Wikta Kulikowna, takie niezgrabne pastusze, nie ma kilka miesięcy, jak tam służy u jakiegoś urzędnika na nowem mieście, a jak się wybrała! Toć u Borowców na weselu w jesieni, aż ją ludzie nie poznali. Nie chciała za innemi tańcować, tylko aż się rozstąpili, to poszła z młynarczykiem, i tak się wykręcała, że się ludzie napatrzeć nie mogli.

Barciak. Ona-bo na obręczy spodnicę nosi, to się bała, by jej który chust nie zaczepił, nie rozdarł, albo nie przydeptał.

Żona. Potem żeby znała na książce, i umiała czytać. Muszę jej nawet w tych dniach kupić książkę do nabożeństwa, taką z świecącym krzyżykiem a z panem Jezusem na wierzchu, jak ma młynarka z Białej, żeby to już była i na niedzielę.

Barciak. Ale kiedy nie umie czytać.

Żona. Nic za to, ale będzie umiała; bo jak dobrze zapłacić, to tak pokażą, że wnet litery pozna.

Barciak. Jak ty tam wszystko masz na pamięci.

Żona. Potrzeba nam i o sobie pomyśleć, coby sprawić.

Barciak. Mnie by najrychlej przydał się zegar, bym wiedział kiedy południe, bo czasem pastuch zaspi, i późno z pola zgoni. I to taki, żeby był z kukułką, albo z graniem, co to co godzina pokazuje się na zegarze Krakowiak w pięknej czerwonej czapeczce na cztery rogi, w karazyi niebieskiej, w pasiku z kółeczkami; zegar mu Krakowiaka gra, a on żwawo podskakuje i w podkóweczki bije. Potem potrzebny mi kalendarz, i strój inny jak tam krawiec poradzi.

Żona. Mnie najpilniej trzewiki z pończochami, rękawiczki, i taki przydaszek o jednym kiju, co to większy od deszczu, a mniejszy od słońca. Trzeba mi też i źwierciadła dużego, cobyśmy sie w niem z Marynką całe widzieć mogły.

Barciak. Nie jedno przyjdzie mieć na głowie.

Żona. Bo też to powiadają: chłopi pracują rękami, a panowie głową.

Barciak. Mnie bo już coś głowa zaczyna pobolewać; trzebaby ją wzmocnić. Pono tam zostało jeszcze coś wina w flaszce? miałoby do jutra skwaśnieć, to lepiej dziś niem się uleczyć.

Żona. A jest, jest. Wystarczy poprawić po miodku. Do ciebie mężu! ... jeno jakoś piecze w gardle.

Barciak. Bo to takie imbierowate z Dukli, ale zdrowe. (pije) Coś mi się na wesołość zbiera. Gdyby była muzyka, to bym sobie zaśpiewał.

Żona. Mój mężu! Zaśpiewaj też, bo to u ciebie nie trudno poskładać.

Barciak (śpiewa):

Idzie wiosna idzie,
Koniec mojej biedzie;
Od świętego Jana
Wyjdę już na pana.

Przyjdzie jesień, w kompanii
Z państwem się zabawię,
A gromadzie z mojej łaski
Wieńcowiny sprawię.
Hop! ha!

Żona:

I ja sobie także
Wielką panią będę,
W niedziele w kościele
Z dziedziczką zasiędę.

Baby będą mi zazdrościć,
A ja pyszna nadmę minę,
Będą wściekać się i złościć,
Jak mi ksiądz poda patynę.
Ej ha!

Razem:

Piechotą już więcej
Łazić nie będziemy,
Czy na kiermasz, czy na jarmark
Koczem pojedziemy.

Gdzie nas ludzie ujrzą,
To przy drogach stają,
Państwu Barciakowskim
Nisko się kłaniają.

Barciaczka nie mogła się opamiętać z wielkiej radości; nuż się mężowi wieszać na szyi i całować:

— O mój mężu śliczny! Ładnie też to będzie ci być panem, bo z ciebie taki figurant, jakiego nie ma.

Barciak pogłaskał żonę po twarzy i chciał jeszcze coś powiedzieć, ale go czegoś po miodzie sen wielki rozebrał, więc przewalił się na posłanie jak długi, i zaczął chrapać i sapać niby miech kowalski. Nie mogła się też już i Barciaczka utrzymać na nogach, toż więc niezadługo było już cicho i ciemno w chałupie Barciaków.

Nazajutrz raniutko wpada Marynka i woła:

— Matusiu! Tatusiu! wychodźcie prędko opatrzyć, bo donica już odwalona.

Biegnie Barciak, utknął na progu, upadł, i nos sobie zakrwawił, Barciakowa znowu zawadziła o zasuwkę i koszulę rozdarła; wybiegają do ogrodu, a tu im zachodzi pastuch drogę, i rzecze, że wieprzak wybiegł z chlewa, i z swojej świńskiej ciekawości odtrącił pyskiem skorupę, i poruszał trochę ziemi. To zawstydziło cokolwiek Barciaków, jakoż powrócili do izby.

Dzień się już zrobił wielki: wyglądają niespokojni powrotu wróża, aż tu daje się słyszeć jakiś krzyk i płacz chłopczyny. Wybiegają Barciakowie, a tu idzie Bartek z lamentem, pytają się go, co się takiego stało? a on włazi do izby, i nuż opowiadać:

— Jakeśmy wjechali w las Zabratowski, kazał wróż stanąć i koniom spocząć, a sam poszedł z żoną za ścieżką niby do znajomgo leśnego zagrzać się trochę. Po małej chwilce wrócił sam wróż i mówi: Zbiegnij i ty tam na dół do chałupy a przeisz co; ja tu już będę przy koniach. Tylko się tam długo z żoną nie bawcie, ale wnet wracajcie, by nas noc nie zapadła. — Biegnę, chałupy żadnej nie widzę; wracam, a tu już i wróża nie ma. Wołam, biegam, krzyczę, nikogo ani uświadczyć. Już się zmierzchło; a to szczęście dla mnie, że leśniczy jednym koniem sankami nadjechał, i wziął mnie na noc do siebie.

Barciakowie zgłupieli z podziwu, a potem dopieroć okropny rozpoczął się lament.

— Hej mój kożuch nowiuteńki -- woła Barciak — kosztował mnie dwadzieścia pięć srebrem!

— A moje korale po babce, com je dla Marynki chowała!

— A moje konie! moja klacz źrebna, jeszcze po cesarskim!

— Oj hoj! — zawodzi żona i wyrywa włosy — zastawił łapkę zastawił, i połapał nas zamiast myszy.

— Oj hoj! — zawodzi Barciak — miał-ci magnes z góralskiego kraju, ale nie w kiju, tylko w rękach, co mi 60 cwancygierów z Matką Boską w komorze z górnej pułki ściągnął, jak się modlił.

I tak bez ustanku rozpaczają Barciakowie, zawodzą a lamentują, że aż chałupa się trzęsie. Zbiegają się ludzie, słuchają i zrazu się uśmiechają, a potem ich żal za niemi rozbiera. Wojciechowa tylko z Marcinową stały za płotami i przedrwiwały, że ich dziedziczkę okradło, ale inni radzili by go szukać, jeno nadarmo, bo któż tam wie gdzie. Od Błażowy przyszedł, w drugą strone ku Kanczudze pognał.

Ku wieczorowi nadchodzi dziadek szpitalny z kartką od księdza proboszcza, żeby Józefowie nazajutrz rano po mszy św. do niego się stawili. Domyśleli się po co, zaraz rano poszli, byli w kościele, zachodzą do księdza proboszcza, a ten po chwilce wychodzi do nich, i rzecze zwolna:

— Witajcież Józefowie! jak się tam macie! co tam u was słychać, coście tak smutni? a nawet widzę, zapłakani?

Nic nie odrzekli Barciakowie, tylko ciężko westchnęli; więc ksiądz proboszcz rzecze:

— Wiem o wszystkiem! Nie chcę powiększać żalu w sercach waszych, bo widzę, że sami dosyć czujecie. Muszę wam jednak jako pasterz otwarcie powiedzieć, żeście wielki grzech popełnili i mocno obrazili Boga. Zgrzeszyliście przeciwko pierwszemu przykazaniu, które mówi: nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną, a wyście we wróża uwierzyli. Sprowadziliście na siebie pośmiewisko, hańbę dla całej parafji, a mnie starego, który lat 40 u was pracuję, i zawsze was od wróżów ostrzegałem, nabawiliście smutku nie małego. Bo cóż będą mówić po sąsiednich parafjach, że u mnie jeszcze takie zabobony się utrzymują? Moja rada: udać się na drogę pokuty, by Boga najpierwej przebłagać. Uczyńcie sobie dziś w domu rachunek sumienia, a jutro przystąpicie do spowiedzi i do komunji świętej; potem wieczorem w przejeździe do dworu, wstąpię do waszej chaty i odwidzę was. Będą ludzie wiedzieć żeście przeprosili Boga, że i ja wam przebaczyłem, przebaczą wam i oni i uspokoją się.

Dopełnili wszystkiego Barciakowie i uspokoili się. Niektórzy sąsiedzi naradzali się by zrucić po kilka groszy, i Barciakowi sprawić kożuch, a kobiety chciały zsypać po parę pa-

ciorków korali, by dać Marynce, ale Barciakowie podziękowali i rzekli:

— Gdyby to przez jakie nieszczęście ta szkoda się stała, to byśmy waszem sercem nie gardzili, ale tu my sami zawinili, więc nie warciśmy tego. Trzeba żebyśmy to odpokutowali, a Bóg nie opuści nas,

Więc ludzie choć na wiosnę zaorać mu pomogli; a Marcinowa się prędzej pojednała, a Wojciechowa jakiś czas się jeszcze urągała, ale i jej złodzieje lepsze chusty skradli, a mąż innych sprawić nie chciał, bo i nie miał za co: tak też i ona spuściła nos na dół, i pogodziła się.

W pół roku potem wybrali się Barciakowie w kompanji z innymi na odpust na Siewnę, do Starejwsi. Pierwszego zaraz dnia po nieszporach spotkali się z wróżami, a prawie że wleźli na siebie. Nie stracił Barciak głowy, pochwycił wróża za kołnierz od kożucha, a Barciaczka znowu wróżkę za korale, i o mało jej z skórą ze szyi nie zdarła. Byłoby nawet może do jakiej biedy przyszło, ale byli i inni ludzie z tych stron jako to: Dudek, Ziaja, Płonka, Szwed, Borowiec i Kutas, a ci ujęli się za niemi.

Wróż zręczny wyciągnął prędko ręce z rękawów, i strzelił między ludzi, puściła i wróżka korale; jeden sznurek się przerwał, pozbierali co mogli, i poszli wszyscy na noc do jednego gospodarza. Tam w stodole wszystko przepatrywali. Siedm tylko skrajnych małych koralików brakło, zapewnie ludzie gdzieś zadeptali, aleć resztę zaraz Marynce matka na szyi zawiesiła. Kożuch trochę był przesmolony ale cały; pod kożuchem spostrzegli przyczepioną małą kieszonkę, a w tej było parę zakręconych gwoździ, i witrych, co świadczy że wróż pewnie złodziejską sztuką narabiał. Były też i dwa papierki na pięć reńskich, co Barciaka nie mało ucieszyło.

Na drugi dzień wracali do domu. Barciak wstąpił po drodze do swego proboszcza, opowiedział wszystko, i radził się, czyby nie dobrze było opisać to, i do gazet podać, by się ludzie od wrożów strzegli; a ksiądz proboszcz poradził tak:

— Macie pisarza swego we wsi; zaproś go do siebie, opowiedz całą historję od początku do końca, niech wszystko spisze i mnie przyniesie, a ja poszlę do Lwowa, by wydrukowali

w *Dzwonku*, bo tę gazetę wszędzie po wsiach ludzie czytają, więc wyczytają i to zdarzenie, i będą mieć naukę.

Pobiegł Barciak, zaprosił nazajutrz pisarza i kilku dobrych sąsiadów, a opowiadał wszystko w całym porządku, a pisarz pisał za nim.

Kpił sobie chwilami Barciak z żony, a ona z niego, a osobliwie, jak na radę przyszło, i na śpiewkę, co poskładali, więc też i naśmiali się wszyscy do syta. Ja zaś wszystko to od słowa do słowa rzetelnie spisałem, by ludzie strzegli się wróżów i złych ludzi, a trzymali się wiernie przykazań Boskich i kościoła świętego. Jeden taki dokument na drugą rękę w skrzynce gromadzkiej na pamiątke zostawiłem, a ten tu na świadectwo prawdy własnoręcznie podpisuję:

Fabjan Klus,
pisarz gromadzki, razem starszy brat Różańcowy.

BOŻA-MĘKA.

Długą ulicą topolową szła zwolna, oparta na kiju stara kobiecina; sakwy zawieszone na plecach, i torba u pasa pokazywały żebraczkę, ale na twarzy wyraz spokojny, łagodny, prawie wesoły. Kiedy weszła do wsi, wszystkie gospodynie wybiegły na próg chaty, i albo zapraszały ją do izby, albo wynosiły czem komora była bogata: ta miseczkę grochu, tamta miarkę mąki, owa kawałek chleba; najuboższe nawet komornice nie przepuściły ją z niczem, i po pare kartofli do sakwy dorzuciły. Ona wszystkim uprzejmie dziękowała, każdą po imieniu nazwała, każde dziecko pogłaskała, i szła dalej z błogosławieństwem i modlitwą na ustach.

Jedna z starszych gospodyń zapytana, zkądby była ta staruszka, odpowiedziała: — A toć to jest Babusia z N.... znana na całą okolicę; dawniej mieszkała we wsi sąsiedniej, teraz dalej o granicę się przeniosła, ale często tu przychodzi odwiedzać stare kąty, pomodlić się pod Bożą-męką, którą wystawiła, a każda z nas chętnie by ostatni kawałek chleba z nią podzieliła.

— Zdaje się być już starą?

— Pono dziewięćdziesiąt lat blisko; byłam jeszcze dziewuchą kiedy ona już była wdową, a przynajmniej ludzie mówili, że jej mąż nieżyje, bo kiedy tam i gdzie umarł, nikt tego nie wie.

— Jak to było, proszę?

— Jeśli posłuchać chcecie, opowiem: Maciej Bednarczak, mąż Babusi, był rodem z tych okolic, młodo wstąpił do wojska i jeszcze za jedności był żołnierzem w Warszawie; później powrócił w swoje strony i ożenił się z tą oto Barbarą Michalczak. Ona była urodziwa i niczego dziewczyna, dobra do pracy, on pracowity, nie pijak, dostali po rodzicach zagrodę, i jak to w owe czasy bywało, dobrze się mieli. Ale niedługo to trwało, wojna wybuchła, Maciej w domu wysiedzić nie mógł, i zaciągnął się do wojska. Zwiedził Niemcy, Francyą, Hiszpanią, wszędzie dostał rany, lecz Bóg przy życiu zachował. W kilka lat potem wracał do domu boso, w wytartym mundurze, ale mówią, że miał zaszytych w podszewce dużo złotych pieniędzy; zkąd je tam wziął niewiedzieć, bo nigdy ani żonie nie powiedział. W drodze także się z pieniędzmi wcale nie wydawał, bo wówczas po wojnie dużo było włóczęgów, a nuż by go który obdarł! więc szedł sobie boso, żył o czarnym chlebie, czasem szklaneczkę piwa wypił i tak zbliżał się do granicy. Ale im bliżej był kraju, tem jakoś niespokojniejszy, pieniądze mu ciążyły, jakby się ich wstydził, i nie śmiał się z niemi pokazać poczciwej żonie, pod rodzinną strzechą. Już było widać słupy graniczne, Maciej zatrzymał się, usiadł na dużym kamieniu, co leżał na polu przy drodze, myślał długo, nareszcie wypruł pieniądze z podszewki, pięć sztuk złota do kieszeni schował, a resztę zakopał pod kamieniem, i potem już lżejszy i weselszy, w dalszą puścił się drogę. Trzeciego dnia był już w rodzinnej wiosce; zastał Basię cichą, poczciwą, pracowitą jak dawniej, ale wynędzniałą i schudzoną. Pod niebytność gospodarza bieda od dawna zagnieździła się w chacie, zagroda opustoszała, pola nie uprawne, bydełko rozmaicie wymarniało, w domu pańszczyzna nie odrabiana, i dwór przez wzgląd tylko na Maciejów, nie obsadzał kim innym zagrody. Co tu robić? Maciej biedził się długo z myślami, wybierał się żonie coś powiedzieć, pieniądze z kieszeni wyjmował, i znowu milczał i złoto do kieszeni schował.

Nareszcie dnia jednego przyszła egzekucya za dawno zaległy podatek, nie było w domu czem zapłacić, zabierano pościel, Basia nie skarżyła się, tylko cicho płakała. Nie mógł dłużej wytrzymać Maciej, wydobył pieniądz złoty i zapłacił podatek. Egzekutor przyjął, nie zdał reszty, że strata na zagranicznych pieniędzach, i jakoś z ukosa na Maćka spoglądał, lecz ten mu rzekł na boku: milcz, a zarobisz grubo! Gdy odszedł, Maciej wyznał żonie, że ma jeszcze cztery takie sztuki złota przy sobie, a wiele więcej zakopanych pod kamieniem, kazał jej być dobrej myśli, opowiadał jak to chatę wyporządzą, bydła nakupią, wóz kowany sprawią i zaczną gospodarować na nowo. Basia nie uśmiechnęła się na te obietnice, tylko zapytała ze łzami: — A nuż na tych pieniędzach krzywda boska, lub ludzka? Żebyć tam już wcale krwi na nich nie było, odrzekł Maciej, tego nie powiem, ale co wojna, to wojna! — zamilkł, zmarszczył brwi, splunął i dalej tak mówił: Ale bądź spokojna, nie rabowałem kościołów, tego nasi nigdy nie czynili! Teraz nie mam czego czekać, dziś jeszcze wyjdę w drogę, za tydzień najdalej powrócę, a wtedy spodziewam się, że moja Basia już więcej biedy mieć nie będzie; tymczasem zostawiam ci te kilka sztuk złota od przypadku. — We dwie godziny Macieja już nie było w chacie, ale tydzień jeden i drugi, miesiąc jeden i drugi upłynął, a Maciej nie wracał, ani żadna wieść o nim nie doszła. Basia oczy wypłakać chciała z tęsknoty i zmartwienia. Na przednowku chleba nie było w domu, a jednak pieniędzy złotych ruszyć nie chciała; zdawało jej się zawsze widzieć na nich krwawe plamy, lękała się o zbawienie męża, o własne.

Za rok wrócił tenże sam egzekutor po na nowo zaległy podatek. Basia dała sobie pobrać resztę ubogich sprzętów, pieniędzy zostawionych od męża nie ruszyła. Wtedy to gruchnęła wieść między ludźmi, że Maciej umarł gdzieś tam w dalekiej stronie, a żonie wielki majątek zostawił, tylko ona się ztem wydawać niechce. W tej nadziei kilku parobków posłało w swaty do Basi, ale nawet wyjść do nich nie chciała, a kiedy rok i sześć niedziel minęło, oddała dworowi zagrodę i rolę, mówiąc: że wdowa poradzić sobie nie może z gospodarką, a potem poszła do proboszcza, i złożyła u niego co tylko miała

pieniędzy na mszę za duszę męża i wystawienie Bożej-męki, co ją ot tam widać na początku wsi między brzózkami. Tak się ogołociwszy, poszła w służbę do poczciwych gospodarzy, i pracowała uczciwie, póki jej sił starczyło; gdy siedmdziesiątka minęła i ręka osłabła do pracy, wzięła kij żebraczy, i odtąd obchodzi nasze wioski, często się modli pod krzyżem, który wystawiła ostatkiem wdowiego mienia, a każda z nas chętnie się z nią dzieli czem może, choć i czasem Pan Bóg urodzajem nie pobłogosławi.

Kobieta skończyła. Babusia tymczasem już minęła wioskę. W kilka tygodni później, było to we wrześniu, Babusia wróciła z odpustu Matki Boskiej, i wedle zwyczaju ile razy ŚŚ. Sakramenta przyjmowała, poszła się modlić za duszę nieboszczyka męża pod krzyżem. Tą razą dłużej się modliła, wieczór już zapadł, a ona jeszcze z kolan się nie podniosła; nareszcie owa kobieta się zbliżyła, chcąc ją na spoczynek do swego domu zaprosić — a staruszka już była usnęła na wieki.

(Z Roku wiejskiego.)

Jakto Jacenty Gajowy
z próżniaka Franka zrobił poczciwego gospodarza.

Na pagórku pod laskiem, leżał Franek syn włodarza, okrutny próżniak, co po całych dniach wybierał gniazda ptakom, albo za chłopakami kamieniami ciskał, a nic mu się robić nie chciało. Korciło to poczciwego włodarza, że miał takiego niepotem syna, i gdyby nie miał Boga w sercu, jużby go był dawno wygnał z chałupy. Namęczyła się z nim niemało matka, ba nieraz i sąsiad jaki za włosy go wytarga, ale to wszystko nic nie pomagało, Franek po całych dniach nic nie robił.

Kiedy właśnie leżał na trawie i podparłszy brodę, suszył sobie głowę jakby tu jaką nową psotę wymyśleć, nadszedł Jacenty, stary gajowy, siadł przy nim i rzekł:

— Nad czem to tak rozmyślasz mój Franku?

— A no, myślę sobie o tem, panie Jacenty, żeście wy bar-

dzo szczęśliwi, co macie taką piękną fuzyję, i chodzicie sobie przez cały dzień nic nie robiąc, a jeno wypatrujecie gdzie ptak jaki siędzie, i buch w niego.

— Tobyś ty może rad strzelcem został?—zapytał gajowy zapalając fajkę.

— Ba, i cóżby nie, jużbym się nie potrzebował włóczyć za koniskami, a matusia ani tatuś nie przewodziliby nademną, bobym im codzień przyniósł jaką zastrzeloną bestyję, i byłoby tyle roboty.

— A umiesz strzelać?

— Leżałbym sobie to tak na trawsku, gdybym rozumiał użyć fuzyi ale? mi się widzi, że to nie wielka sztuka, ba ta jeno pociągnąć za tę kurcabę, to i jušci zając leży.

— A kiedy tak, to dobrze, widzisz na krzaku srokę, pal do niej.

— Ba, albobyście wy to pozwolili? — zawołał niedowierzając Franek.

— Pal, mówię ci — rzekł Jacenty dając mu fuzyą.

Franek chwycił ją z radością, obracał na wszystkie strony, pociągał tu i owdzie, ale i wystrzelić nie umiał i sroka tymczasem uciekła.

— A czy tam grzesi z taką robotą—rzekł zawstydzony kładąc strzelbę—takie niezdarne fuzyjsko, co ani wystrzelić nie umie.

— Ba — zawołał Jacenty — toś to ty chłop niezdarny, jak wół do karety, a patrzajno.

I porwawszy fuzyą, przymierzył, wycelował i palnął, a piękna wilga zleciała z drzewa.

Franek poskoczył, przyniósł wilgę i wydziwić się nie mógł, czemu on do sroki wystrzelić nie umiał.

— Oj jeślibyście mię nauczyli strzelać, to jabym wam też ślicznie podziękował.

— Dla czego nie mój Franku, ale widzisz, trzeba nam upleść cel z wierzbowych gałązek, a ja nie mam czasu.

— To ja go zrobię! — zawołał uradowany Franek.

— Natnijże łoziny i przynieś do mnie, ja ci pokażę jak się plecie.

I tak się stało: Franek naniósł pręcia, upletli z tego cel

okrągły, a duży jak dno od wielkiej beczki. Cel był, ale cóż kiedy ani prochu, ani śrutu nie było, a Jacenty dać nie chciał. A że się Franek, ochoczo pracując uczył pleść ochotnie, to też z pomocą Jacka zrobił dwa proste kosze ręczne i zaniósł do miasta, a sprzedawszy je kupił prochu i śrutu.

Stary Jacek uczył go strzelać, ale wciąż na proch kazał pleść koszyki. Wreszcie zachciało się Frankowi mieć fuzyą własną, więc przez trzy miesiące plótł i sprzedawał koszyki, aż i fuzyą kupił; a tymczasem wyuczył się i przyzwyczajał do roboty. Gajowy uprosił dziedzica, żeby Frankowi pozwolił co niedziela po nieszporze chodzić na ptaki, ale pod warunkiem, żeby Franek przez cały tydzień nad koszykami siedział. I tak też było, aż i Franek przyuczył się do pracy, i stał się pierwszym na całą parafię koszykarzem i niezgorszym strzelcem. Dziedzic go też zrobił gajowym; Franek ożenił się, a wyplatając z dziećmi kosze, do pięknego grosza przyszedł i zawsze mawiał: — Co też to za zmyślny człek z tego Jacentego, jak on mię sztuką zaszedł! Gdyby nie on, tobym już dawno albo umarł z głodu, albo chwycił się złodziejstwa, i jeszczeby mię w końcu obwiesili na piękne. Boć to nie było większego próżniaka jako ja, a teraz nie ma pracowitszego chłopa, jako on próżniak Franek.

(*Km.*)

RÓŻNOŚCI.

Rok wiejski. W owem mieście *Gnieźnie*, kędy to pierwszy książę polski białe orły w gnieździe znalazł, a co teraz pod Prusakiem w W. księstwie Poznańskiem zostaje, drukują też dobrzy ludzie różne śliczności, z historyi naszego kraju i żywotów świętych, i powieści o złych i dobrych ludziach, a czasem też wiersze i śpiewki, co tak słodko jak miód w ustach się rozpływają. Wychodzą tam te książki w takich dniach, kiedy ludzie po wsiach dużo czasu wolnego mają, coby na czytanie obrócić go mogli. Więc najwięcej w czasie świąt, czy Wielkanocnych jak teraz, czy Zielonych świątek, czy Narodzenia Bożego, jedna książeczka, podpisana: *Rok wiejski*, a ludzie czytają i cieszą się temi ładnemi rzeczami. Ja wam też wydrukowałem z tego *Roku wiejskiego* ową historyjkę: *Boża męka*, co tu w tym numerze stoi, bo sobie myślę: kto ma dużo

czasu a i pieniędzy mu nie brak, albo jest szkółka we wsi, kędy dzieciom książeczek do czytania potrzeba, to nie zawadzi podać mu to do wiadomości i zachęcić, żeby mógł kupić w księgarni, to jest w sklepie, gdzie książki sprzedają.

Święcone. — Mój Wojciechu, a toć jedzcie przecie! A doczegożeśmy to jaj nagotowali, i kiełbasy kilka łokci kupili, i słoniny połeć. A do czegoż to moja paski i strucle popiekła; a toć przecie na to żeby się zjadło.

— Dziękuję wam też za gościnność i za dobre serce, ale zjem tylko kawałek jaja, bo jak was też kocham tak, nie mogę. Byłem już i u Goździaków i u Kogutów, i najadłem się tam do syta.

— Oj, oj, a pocóżeście do nas przyszli; a przecieć święta nie na co innego są, jeno na to, żeby sobie raz w rok choć dobrze podjeść. Zjedźcie też, zjedzcie i wy choć kruszynkę.

— Słyszę ja mój kumotrze dziwne rzeczy od was. Mówicie mi, że święta są na to, aby sobie podjeść? A cóż to wy serce w brzuchu macie? Bo ja we święta sercem pana Boga chwalę, jako że ku Boskiej czci wszystkie święta są postanowione.

— He, he, mój Wojciechu, a powiedzcież mi, dla czego ludzie w czasie świąt tyle jadła gotują i pieką? Jużci to dla ludzi żeby jedli a pamiętali na święta.

— A jużci że dla ludzi, ale nie na to coby się obżerali jak nieprzymierzając prosięta, a zalawszy pałkę jeszcze się może swarzyli i pobili. Jużci zakazuje nam kościoł pracować we święta tak jak w dzień powszedni, ale to dla tego, żebyśmy mieli czas rozmyślać sobie o wszystkich dobrodziejstwach pana Boga, jakie na nas zseła, i o własnem sumieniu, i o własnych uczynkach, jako powinny być zawsze sprawiedliwe i miłości pełne. Są też święta na to, aby słabych odwiedzać, aby bliźnich a biednych wspomagać radą i uczynkiem, i pouczać się wzajemnie.

— No, aleście mi zawsze nie powiedzieli Wojciechu, czemu się to tyle jadła na Wielkanoc ładuje.

— Widzicie mój kumotrze, na Wielkanoc ładuje gospodyni jadło dla miłych gości, bo w naszej kochanej Ziemi zawsze tak bywało i bywa że: *gość w dom Bóg w dom*, a to znaczy, że każdy gość Boga ze sobą przynosi, więc go też i uznać i przyjąć należy. Ależ trzeba żeby każdy skromnie, a nie wiele zjadł, bo to grzech wielki kazić się we święta obżarstwem lub pijaństwem; a wy mię do tego namawiacie jako że jestem syty. I nie dość na grzechu; ale i grzeszne ciało łatwo zatracić można, boć niejednego po świętach choróbska schwytają i czasem śmierć napada, a to z tego tylko, że się obżerał jak nieboskie stworzenie! —

Na to mądre gadanie nie odezwał się już kumoter; zjadł tylko z Wojciechem kawałek święconego jajka, a ściskali się przytem i życzyli sobie dosiego roku.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.